[Anaheim, 25 lipca 1876]

Szanowny Panie!

Odpisuję natychmiast i przesyłam zarazem list do mających przybyć kolonistów. List, który mi Pan przesłał, był od pp. Chł[apow]skich. Będą w New-York 3 sierpnia – następnie ruszą czy przez Panamę czy koleją, nie wiem. Piszą mi, że otrzymam depeszę, ale zdaje mi się, że to Wy otrzymacie ją, tj. że przeszlą ją na Wasze ręce. W takim razie odtelegrafujcie natychmiast, bo inaczej nie wiedziałbym, co robić z mieszkaniem dla nich, czy najmować, czy nie. Chciałem początkowo nająć w Anaheim-Landing; byłoby taniej, a przy tym nad morzem, więc byłyby i kąpiele – teraz jednak wątpię, czy to będzie możliwe, bo tam podobno i ja miejsca na nocleg nie będę mógł znaleźć. W każdym razie, gdybym się pierwej od Was dowiedział o dniu ich przybycia, doniósłbym Wam natychmiast. Do San Fr[ancisco] się nie wybieram, bo mi tu tak dobrze, jak nie może być lepiej.

Powiadam Wam, że to Anaheim jest jedyne miejsce na świecie. Wyobraźcie sobie, że tu wszyscy ludzie uczciwi – a biednych literalnie nie ma wcale. Ogromny kosz *peaches* roślinnych kosztuje *ten* cents, cetnar winogron – dwa bity, inne owoce darmo – zwierzyny zaś tyle, że ja, sławny pudlarz, literalnie czasem powracam do domu zgięty pod ciężarem kuropatw i zajęcy jak pod korcem zboża. Jakże chcecie, żeby wobec podobnych warunków marł tu kto z głodu! Wszystkie moje obawy o los kolonii coraz są mniejsze, w miarę jak przypatruję się wszystkiemu. Fortuny może nie zrobią, ale żyć mogą śpiewając. Jeżeli jednak posłuchają moich planów, i mężczyzn, do których i ja się zaliczę, wyślą w góry – żeby zajęli klemy – zrobią nawet majątek. Ci mężczyźni będą tam paśli wszelkiego rodzaju trzody, ale moje genialne plany polegają na czym innym.

Oto tak w Anaheim, jak w Los Angeles nie ma drzewa opałowego (prócz cytryn, pomarańcz, tamarynd, drzew pieprzowych, brzoskwiniowych i rycynusów wraz z eukaliptusami). Góry zaś pokryte są ogromnymi lasami. Sprowadzać jednak tego drzewa nie można, bo 1-o, nie ma kto, wszyscy tu bowiem zajmują się rolą i winem; 2-o, nie ma jak, bo wcale nie ma dróg, miejscami koń nawet nie przejdzie, miejscami zaś dla utworzenia drogi trzeba by skały rozsadzać prochem; 3-o, na koniec w górach nie ma ludzi prócz trochę Meksykanów, którzy nic nigdy nie robią, jednego Moskala i kilku Amerykanów minerów.

Otóż ja wynalazłem sposób sprowadzania tego drzewa, tak w postaci rąbanego na opał, jak i w postaci klepek, których tu potrzebują mnóstwo, i desek – wprost do Los Angeles i Anaheim, jako też i do morza. Rzecz w tym. W lato nie ma wcale wody w krykach, ale na wiosnę jest jej tyle, że na kiepskich strumykach mogłyby chodzić parowce. Wszystkie te rzeki biorą początek w górach i przez dolinę Anaheim i Los Angeles idą do morza. Nic łatwiejszego,

jak wiosną spławiać nimi ogromne masy drzewa pozbijanego w tratwy, gdyby zaś to okazało się zbyt ciężkie, to w postaci belek i desek, i za drzewo to brać dobrą brzęczącą gotówkę w dolinach. Rzecz prosta i niezawodna, a jednak nikomu nie przyszła do głowy, może dlatego, że tu ludzi tak mało i wszyscy zajęci czym innym. – Lasy te w górach nie należą do nikogo. Przez lato, jesień i zimę można przygotowywać zapasy, a wiosną, *Va*! na wodę. O tym powiedzcie kolonistom, bo ich pierwej zobaczycie ode mnie. Powtarzam, że rzecz jest niezawodna.

Poznałem tu hiszpańską rodzinę. Matka lat 50, kompletnie piękna jeszcze, dzieci 15 (piętnaścioro), z których dwie córki, Klaudyna (lat 17) i Matylda (lat 16), po prostu klękajcie narody. Zupełnie nasze kobiety, delikatne, dystyngowane, a jakie piękne! Dom otwarty, gościnny, służby mnóstwo, a Matylda ach! ach! – posagu po 12 000 dol. na „ryło”.

List ten wraz z planami proszę pokazać kolonii. Gazety odeślę pojutrze. Awantura cyrkowa nie wydała złych następstw – było to tylko starcie.

Ściskam kochanego Pana, Pani, pannie Jul[ii] moje uszanowanie. Pawła ściskam i polecam mu ceratę. Kapitanom uszanowanie. Do kap[itana] Piotrowskiego nie piszę, bo nie wiem, czy jest w San Fr[ancisco], czy u pana Franciszka.

P. S. Do San Fr[ancisco] nie przyjadę stanowczo, bo mi czas nie pozwala, ale wy namawiajcie pp. Potockiego i Drohojowskiego, żeby przyjechali do Anaheim. Tak Los Angeles, jak Anaheim (okolice) warte są widzenia, zresztą przyjechawszy tyle tysięcy mil niechże już nie żałują przejechać kilkadziesiąt, by zwiedzić południe Kalifornii. Jeżeli na koniec, jako ludzie „dobrej krwie”, lubią polowanie, to chyba nigdzie na świecie lepszego jak tu nie znajdą. Koło Anaheim na polach zarosłych kaktusami są setki tysięcy zajęcy i kuropatw; prócz tego są tu borsuki *(badgers)* i bażanty – w górach zaś o 25-30 mil jelenie, górskie lwy (kuguary), kujoty, ale przede wszystkim gryzli. Wyjechalibyśmy z Anaheim bądź to wozami, bądź wierzchem i zabawilibyśmy tam z tydzień. Być w Ameryce i nie strzelać do pumy lub gryzli – to wstyd. Prócz tego widoki tam nad podziw cudne, lasy, Indianie etc. Jeżeli zechcą probować polowania na grubego zwierza, to lepszego nigdzie bliżej nie znajdą. Bo to, że niedźwiedzie żyją w górach otaczających San Fr[ancisco] i Sacramento, to musi być humbug. Jeżeli przyjadą, niech telegrafują na ręce Luedtkego, bo ja wyjeżdżam do Landing i moglibyśmy się zminąć.

Koperta: M. Jules de Horain Esq. San Francisco, Stevenson Street N 550. — Stempel pocztowy: Anaheim Jul. 25 Cal.